

Die 23 octobris
Trakt na Łubnie, południe

Przeprawę zakończyli jeszcze przed południem, a słońce i babie lato osłodziły im niemiłą przygodę na rzece. Szli wąskim traktem, czasem wyjeżdżonym niczym ścieżka do wychod-

ka, innym zaś razem ledwie widocznym wśród wysokich, suchych traw. Złota jesień pomykała przed nimi drogami i traktami, kryła się w dąbrowach malowanych brązowym listowiem, na stepach, polach i polanach, na których rosły całe zagony wdzięcznych, dojrzewających jagód i borówek. Moskwa była tuż-tuż. Za miedzą, za płotem rozpościerała się kraina skuta lodem, smagana wichrem i carskim knutem, a przecież wcale nie czuli na swych karkach mroźnego powiewu. Podążali samym środkiem szarych i żółtych pól, mijali bory klonowe i lipowe, wyschnięte stepy ciągnące się hen aż po horyzont, nad którymi tkwiło niskie słońce, już nie grzejące, ale błyszczące olśniewająco. Przenikające na skroś bezlistne gaje i ciemne dąbrowy, które dopiero teraz, kiedy brakowało ponad połowy listowia, wypełnione były złotawym blaskiem.

Szli na wschód. Po bezdrożach, stepach i moczarach, czasem znajdując drogę po starych kurhanach i mogiłach, innym razem idąc wzdłuż rzek, potoków i ruczajów. Maszerowali do Łubniów, własności Michała Wiśniowieckiego, starosty owruckiego, który choć nie popierał swych stryjecznych braci – Konstantego i Adama, pozwolił jednak, aby w jego dobrach zbierali się ludzie i stronnicy Dymitra Iwanowicza.

Tutaj, pod zamkiem, który niedawno ufundował książę, rozłożyli się obozem. Dymitr popłacił żołąd, nędzne szesnaście złotych na koń chorągwiom husarskim, dwanaście pancernym, a potem przyjął popis zmordowanych marszem, stojąc konno na wysokim brzegu rzeki.

Po południu zwołano wielką radę, by wreszcie spojrzeć w twarz prawdzie, kolącej w oczy hetmana i pułkowników. W jaki sposób z wojskiem liczącym sześciuset husarzy, półtora tysiąca kozackiej jazdy, pół tysiąca piechoty i kilka tysięcy wolontarzy oraz dońskich i zaporoskich mołojców zrzucić z kremłowskiego stolca tyrana Borysa Godunowa? Marsowe miny Dymitra i Dworyckiego zapowiadały, że nie okaże się to trudniejsze niż przepędzenie wrzaskliwego kundla. Wszak Polak wszystko potrafi.

Die 25 octobris

Świellica na zamku w Łubniach, późna noc

Na naradę zawołano pułkowników, rotmistrzów i poruczników, wszystkich tych, którzy w dalszej wojennej części wyprawy mogli mieć coś do powiedzenia lub zagrać pierwsze wojenne skrzypce. Przybyli Polacy i Moskale, Kozacy i Dońcy, Tatarzy i Wołosi, maluczcy i wielcy, tak iż można by rzec zgoła, że na zamku Michała Wiśniowieckiego dokonała się prawdziwa utopia, w której wszyscy ludzie, nie bacząc na stan, urodzenie i zasługi, zasiedli u jednego stołu. Wojewodowie i starostowie gwarzyli z kozackimi watażkami, posesjonaci i husarze bratali się z zaściankowymi szaraczkami, co przyciągnęli za Dymitrem w chorągwiach wolontarskich. Kilku Tatarów – uciekinierów z Krymu – gadało ze swymi zaprzysiężonymi wrogami Kozakami tak swobodnie, jakby co dzień pili horyłkę w jednym siczowym kureniu. Moskale kłaniali się Polakom, zapominając, że to wcielone diabły, a ci z kolei gawędzili z Mołdawianami wbrew licznym przestrogom kalendarzy, gdzie czarno na białym stało, iż z Wołochami pocziwej rozmowy nie ma, bo plemię złodziejskie, więc wszelką gadaninę zaczynać należy, dawszy pierwej w pysk.

Sprawa Moskwy i cara Dymitra połączyła zebranych tak dalece, że nikt nie wypominał dawnych uraz. Panowie stykali się kielichami z Zaporozcami, nie bacząc na ostatnie bunty Nalewajki i Łobody, swawoleństwa Kosińskiego i grabieże Kiszki. Z kolei Zaporozcy zapomnieli Lachom krwawej rozprawy z ich pobratymcami pod Łubniami i Piątkiem, bo wszak co było, a nie jest – nie pisze się w rejestr. A rejestrów na Zaporozżu nie miałby kto pisać, bo czytanych i pisanych Kozaków było tam tylu co uczciwych posłów na koronnym sejmie.

Wolontarze nie burzyli się, że nie dostają żołdu, z kolei rotmistrzowie zaciężnych rot nie krzyczeli, że zasługi są psie i dziadowskie. Dońcy nie wspominali Kozakom waśni z Zaporozcami, prawosławni katolikom doprowadzenia do zawar-

cia unii brzeskiej z papieżem, a unitom odszczepieństwa od błahoczystej wiary. Wołosi Lachom zwycięstwa pod Bukowem, gdzie rozbito armię Michała Walecznego, przyszłego króla Walachii. Jezuici zasiadali w zgodzie obok popów, Dymitr na wprost wojewody, a wojewoda obok atamana Dońców Koreły.

To było jak dobra wróżba na przyszłość, że tyle nacji siedziało w zgodzie w jednej izbie, przy winie wydzielanym hojnie z łubnieńskich piwnic. Tym, co ich łączyło, były złote cerkwie, przepastne skarbce monasterów i soborów, carskie kaźnie, miasta o błyszczących kopułach i cerkiewne ikonostasy kapiące od złota, pereł i kamieni.

Za nimi były właśnie, krwawe bunty, nienawiści. Przed nimi – przebogata Moskwa, miasto złotych świątyń, warte grzechów całego życia, a nade wszystko – zgody, braterstwa oraz przyjaźni wszystkich nacji zamieszkujących Rzeczpospolitą i jej pogranicza.

I jeszcze było coś, co snuło się nad głowami wszystkich, prawie rzucało mroczny cień na ścianę: widmo cara moskiewskiego. Jego dział, pułków, wojewodów, warownych miast, strzelców i hulajgradów. Bo teraz, o kilkanaście mil od granicy z Moskwą, skończyły się przechwałki, picie, wymachiwanie szabelką z okrzykami: *Na pohybel!* i *Górq nasi!* Nadeszła chwila prawdy: wkrótce mieli bić się i zwyciężać. Klęska i powrót nie wchodziły w rachubę, bo rozmiar awantury, którą zamierzali rozpętać na granicy wojewoda i carewicz, przekraczał pograniczne wojenki i kozackie chadzki. To wiedział nawet ciura, że jako zwycięzcy zapisaliby się złotymi zgłoskami na dziejowym rulonie prawdy. Na pokonanych czekałby w Rzeczypospolitej topór i szubienica.

– Jakie są wieści z Moskwy, mości panowie? – zapytał Dymitr mocnym głosem. On jeden nie garbił się na ławie, wprost tryskał zdrowiem i animuszem. Oczywiście miał błyszczące, a policzki zarumienione. – Co dzieje się w przygranicznych grodach i jakie środki przedsięwziął car Borys na obronę?

Jan Buczyński podniósł głowę.

– Wrócili szpiedzy i zdali mi relację. Mam też dobre awizy od kupców kijowskich i Dońców.

– Mów śmiało.

– Borys nie wie, z której strony Wasza Carska Mość wkroczy do Moskwy. Umocnił i obsadził pogranicze, wysłał do grodów wojewodów, puszeki i konnicę. Zgromadził siłę, jakiej dawno nie widziano w tych stronach. Całego wojska liczyć można na ponad sto tysięcy pieszego i konnego ludu.

W sali rozległ się szmer, potężniał, brzmiał coraz głośniej.

– Cisza! – zagrzmał Dymitr i uderzył buławą w stół. – Nie rwijcie się tak wcześnie do boju. Niechaj jegomość skończy!

– Fałszywy car zwołał tych, co służą po otczestwu, jazdę dworzańską i poczty bojarów. Powołał strzelców i puszkarzy z Krymgorodu. Są przy nich Tatarzy i Kozacy jaiccy, część Dońców, choć niechętna, także musi służyć. Zwołał wyprawy pososzne. Ale to jeszcze nie wszystko...

Szmer ucichł jak ucięty nożem.

– Z carskimi wojewodami idą zaciężne wojska cudzoziemskie: Jakub Margaret, dawny nasz kompan z czasów króla Stefana, wiedzie piechotę niemiecką, inflancką i francuską, Walter von Rosen – Niemców inflanckich, Woundmann – Szołów i Angielczyków. Będzie ich do kilku tysięcy.

– To wielka... To ogromna siła! – zawołał wojewoda Mniszech. – Nie myślałem, że Godunow ma piechotę cudzoziemską!

– Radźcie, co czynić, na Boga! – zakrzyknął Gogoliński. – Tego nie było w planach! Zaczekajmy na armię królewską!

– Ilu? Ilu ich jest? – zakrzyknął Dworycki. – Chyba się prześłyszałem?

– Tak, carskiego wojska jest bardzo dużo – rzekł twardym głosem Buczyński. – Może i lżą tutaj waszmościom w żywe oczy. Może nie jest ich sto, ale w sumie, z czeladzią, jakieś dwieście albo trzysta tysięcy. Ba, choćby ich było nawet pół miliona, to i tak, wiercie mi – znaczna część tej armii znaczy tyle co plewy na wietrze.

Uniósł dłoń i dmuchnął na nią, jak gdyby liczył, iż Godunowe zastępy nie są cięższe od piórka.

– Zaprawdę gubi sam siebie ten, kto drugiego czyni potężnym, gdyż tworzy potęgę zręcznością lub siłą, a jedno i drugie budzi nieufność u tego, który stał się potężny. Mości panowie, armia Borysa składa się w znacznej części z chłopów powołanych do wojska siłą, którzy równie mocno kochają swego cara co głodne wilki tłustego barana. Dopóki stoi nad nimi nadzorca z knutem, będą posłuszni, ale kiedy zobaczą groty husarskich kopii, rozproszą się szybciej niż poranna mgła.

– Dońscy mołojcy – mruknął półgębkiem Koreła – nie budut byty za gosudara. Prędziej mi kiej uschnie i jak gałąź odleci!

– Godunow ma wiele tysięcy jazdy bojarskiej i dworzańskiej – ciągnął Buczyński – ale przecież donoszą mi szpiedzy, że nie ma w niej żadnego animuszu wojennego. Car pokłócony jest z kniaziami i bojarami, których podejrzewa o zdradę i sprzyjanie Waszemu Wielicestwu. Wielu z nich chętnie widziałoby upadek Borysa. Dlatego pułki dworian i bojarskich dzieci nie pójda bić się szczerze. Nie będą następować z wiarą i ufnością na nasze husarskie chorągwie.

– Pomijając fakt, że jeden husarz za dziesięciu Moskali stoi! – zawołał wesoło Dworycki.

– Któż zatem zostanie przy carze? Kto będzie mu wierny do końca? Strzelcy? Być może, ale i ci dowodzeni są przez tysięcy, którymi są dworscy i bojarscy ludzie. Część z nich wolałaby biesa i czarta na kremłowskim tronie niż gosudara Borysa. Pozostają najemnicy: Niemcy, Węgrzy, Angielczykowie i Walończycy... Żołnierz srogi i szczerzy, póki mu płacić będą, bić się będzie dobrze. Ale tych nie jest więcej niż naszego wojska.

– Jak umocniona jest Siewierszczyzna? Zali wojewodowie carscy spodziewają się naszego ataku?

– Car nie wie, jakie są nasze zamierzenia. Dlatego wzmocnił i obsadził wojskiem całe pogranicze od Smoleńska do Donu. W Putywlu siedzi Michaił Sołtykow i wojewoda Wasyl Rubec-Massalski. W Briańsku Dymitr Szujski, Michał Koszin, Iwan

Godunow, carski krewny. W Nowogrodzie Siewierskim osadził ze strzelcami Nikitę Romanowa, Nikitę Trubeckiego, komendę oddał zaś okolniczemu Piotrowi Fiodorowiczowi Basmanowowi, swemu kochankowi i faworytowi.

– Wysłał poselstwa – uzupełnił Miechowicki, sekretarz Dymitra – do Tatarów siewierskich Michaiła Sołtykowa i Piotra Szeremietiewa, aby wsparli jego zamysły.

– A swego poplecznika Michaiła Tatiszczewa nawet do króla Persji, aby go zjednać przeciwko naszej sprawie.

– Persja daleko, a ja blisko – skwitował te słowa Dymitr. – Choćby pozyskał cesarza chińskiego i chana ze wszystkimi ordami, nie odstąpię od mego dziedzictwa. Radźcie, mości panowie, co dalej czynić. Ja was wysłucham i na ostatku podejmę decyzję.

– Idźmy nad Don – rzekł śmiało i bez ogródek Dworycki. – Poderwijmy Kozaków do powstania, pozyskajmy Tatarów kazańskich i astrachańskich, a potem razem z nimi uderzymy na Moskwę.

– Spasi Chryste! – jęknął Koreła, nie wiedząc: zachwycony czy też przerażony planem pułkownika. – Dawajcie, braty, nad Don!

– Zanim dojdziemy do Kozaków, spadną pierwsze śniegi – zaproponował Buczyński. – Stracimy dobre pół roku, a nie możemy być tak naiwni, by sądzić, że car Borys będzie zasypiać gruszki w popiele. Jeśli mamy uderzać, tedy uczynimy to teraz! Kłopotem jest tylko ustalenie miejsca, w które winniśmy wrazić ostrze. A ugodzić musimy celnie, gdyż jak powiada Machiavelli, rozwiązania pośrednie są najgorsze ze wszystkich, albowiem ludzie nie potrafią być ani całkiem źli, ani całkiem dobrzy.

– Idźmy na Siewierszczyznę – zaproponował wojewoda. – Przejdziemy granicę za kilka dni, a skoro Borys nie jest pewien, gdzie zaatakujemy, spadnijmy mu na głowy jak śnieżna burza. Ziemie siewierskie są bogate, sam Nowogród płaci do carskiej karni co roku dwadzieścia pięć tysięcy rubli. Dzięki zdobyciu jego i innych miast zyskamy środki na podtrzymanie naszej

sprawy. A pieniądze, jak chyba waszmościom nie muszę tłumaczyć, to rzecz niezwykle konkretna...

– Tylko że właśnie grody siewierskie są umocnione i przygotowane na nasze powitanie – rzekł Koreła. – Nu, pany Lachy, braty rodnyje, idźmy nad Don. Tam pohulamy, tam wolność i swawola, a i do cara daleko!

– W tym właśnie rzecz, że za daleko – mruknął Buczyński.

– Więc pozostaje nam tylko dostatnia i stateczna Siewierszczyzna – powiedział wojewoda. – Miasta tam dobrze wzbożone na handlu z Kijowem. Soroki soboli, aksamity i jedwabie tureckie, perły i rubiny, skóry i drewno...

– Myślałby kto, że waszmość wybierasz ziemię siewierską, bo śpieszy ci się do owych czternastu zamków, które masz obiecane od Jego Carskiej Wysokości – rzekł Żuliński.

– Nie! Jakże to tak! – zakrzyknął wojewoda. – To jeno dobra rada! A jeśli waszmość nie masz własnej, to mnie nie zbijaj z pantafyku!

– Siewierskie zamki to nie byle kurniki, mospanie! Nie starczy nam lisiego sprytu, aby z nich tłuste kapłony wydobyć! Tam ostrokoły, palisady, wały, puszki carskie!

– Będziemy je oblegać, do kroćset!

– A oblegałeś coś innego niż dziewczki w stodole albo na stogu, mości panie wojewodo?!

– Ciszej! Uciszcie się, waszmościowie! – Dymitr uderzył buławą w stół, przywołując do porządku towarzystwo. – Nie jesteś tu, aby się kłócić. Zresztą ja już podjąłem decyzję.

– Słuchamy!

Dymitr wstał, przejechał bystrym spojrzeniem po wszystkich obecnych, począwszy od pułkowników i rotmistrzów husarskich, a skończywszy na Świrskim i Ratomskim, dowódcach kozaków i wolontariuszy.

– Uderzymy w miejscu, gdzie granice Litwy stykają się z Siewierszczyzną – rzekł w ciszy, która zapadła. – Nad Desną, na siewierskie grody.

Cisza była tak głucha, że aż dzwoniło w uszach.

– Pójdziemy tam nie dlatego, żeby wyzwalać ziemie przyobiecane panu wojewodzie, ale z tej przyczyny, że Siewierszczyzna po buncie Chołopki i hołomorze stała się jedną wielką beczką prochu. Chłopi i posadzcy czekają tylko, by dać im sygnał, bo nienawidzą Godunowa jak wściekłego psa. W miastach są carscy wojewodowie i strzelcy, ale wielu z nich zesłano z Moskwy do przygranicznych grodów dlatego, że nieprawy car podejrzewał ich o spiski. Michaił Sołtykow i Wasyl Rubec-Massalski, Nikita Romanow i wielu innych znaleźli się w srogiej carskiej opale. Prędszej niebo zwali się nam na głowy, niż będą bić się choćby w polowie tak dzielnie, jak stawali Wasyl i Iwan Szujscy pod Pskowem, w imię mego drogiego batuszki. Mówiłem, że Siewierszczyzna jest jak baryłka ziela i starczy iskra, aby wysadzić tron pod rąbami Godunowem. Ja lont uknęczę z gramot i listów pana Buczyńskiego i sam pierwszy podpalę, a wtedy wrócę na moją stolicę. Odbiorę Godunowowi dziedzictwo, które należy się mnie, synowi Iwana Groźnego, krwi Augustów – imperatorów Romy świętej, Ruryka z Waregami, który na Ruś przyplłynął. Potomkowi Włodzimierza Wielkiego, co Ruś od Pieczyngów obronił i Jarosława Mądrego spłodził, prawego następcę Aleksandra Newskiego, co pobił na Jeziorze Czudskim Kawalerów Mieczowych, a dzisiaj w chórze świętych w cerkwi prawosławnej stoi. Ja jestem ten, który potomkiem stał się Iwana Kality, co jak dzięgi do trzosa, tak on zebrał wielką Ruś prawosławną w jedną dziedzinę, a siłę jej i wolę przekuł w miecz w prawej ręce dzierzony. Jestem z rodu Iwana Srogięgo, co żonę miał z Cesarstwa Wschodu – Zofię. Z nią dwugłowego orła przejął i następcą basileusa konstantynopolańskiego mienił się. Jam wnuk Wasyla, trzeciego tego imienia, co podbił Psków, Riazan, Smoleńsk, Nowogród Siewierski; za jego czasów mnich Filoteusz Moskwę trzecim Rzymem obwołał. Syn Iwana zwanego przez wrogów Groźnym, od spiskowców Tyranem, a od sług swych godnych Ojczulkiem, bo wielki to był car, świątobliwy mąż, sprawiedliwy. A choćby co nagrzeszył, wszystko odpokutował, umierając w sukni zakonnej. Dzieła jego wsiemu światu izwiestne.

Nikt jakoś nie dodał, że krwawy łotr i despota, ojciec Dymitra carewicza, zwany był w Rzeczypospolitej także Iwanem Tchórzliwym, bo nigdy nie ośmielił się stanąć do walki z armią koronną i litewską Jego Królewskiej Mości Stefana Batorego. No cóż, polityka, drogi Czytelniku...

– Każcie, mości panowie, trąbić wsiadanego skoro świt – za-
grzmiał Dymitr, tocząc roziskrzonym wzrokiem po obliczach
Lachów i Kozaków. – Niechaj podkowy waszych koni rozniosą
po wsiej Rusi wieść, że wrócił Dymitr Iwanowicz, który ogrzeje
swym światłem serca swego ludu i stopi okowy nałożone przez
Godunowa! Wiem, że jestem dla was przeklętym Moskałem! –
zagrmiał prosto w wąsate, ogorzałe oblicza husarskich, ko-
zackich i wolontarskich rotmistrzów i poruczników. – A może
nawet kniazikiem z Hiperborei, odwiecznym wrogiem, synem
tego, którego nazywacie okrutnikiem i tyranem. Nie, nie za-
przecajcie! Jednak w tej ostatniej godzinie proszę: wysłuchajcie
mnie uważnie. Jesteście dzielnymi ludźmi, wy, Polacy. Jesteście
najlepszą jazdą, jaką Bóg stworzył na tym świecie. Walczyliście
dla Rzeczypospolitej. Walczyliście dla króla Stefana. Biliście
się dla hetmana Zamoyskiego, gdy bronił słusznych praw Zyg-
munta Wazy, i dla waszego króla w Inflantach. Dziś walczcie
dla mnie i zwyciężajcie, a dokonacie tego, co ponad siły wszel-
kie nie było oczekiwane! Oto pierwszy raz rozkwitną owoce
przyjaźni między naszymi narodami. Mieliście Moskwę wro-
gą, co wam zabrała pół Litwy, Smoleńsk, Czernichów, Homel.
Przejmowała was chłodem i jako odwieczny wróg wisała nad
wami. Pod moim łaskawym panowaniem stanie się przyjacie-
lem, jakim były dla was Węgry, zanim nie pochłonęła ich tu-
recka zawierucha. Jutro, kiedy ruszymy, będziecie mieli jedną
jedyną szansę, by zadziwić świat. Przynieść Moskwie wolność,
o jakiej nigdy nie śniła i jakiej sama by sobie nie wywalczyła.
Oświecić ją, zmienić tak, jak nigdy nie zmieni żaden car ani
wielki książę. Dzięki czemu kiedyś, w przyszłości, Pan Bóg po-
zwoli zjednoczyć nasze ziemie słowiańskie nie siłą cesarskiego
knuta, ale wolną wolą ich obywateli!

Dworycki drgnął, słysząc te słowa.

– Wiwat Dymitr Iwanowicz, wielki carz moskiewski! – zakrzyknął. – Wiwat rycerska sława i nasza wyprawa!

– Na sławu! Na szczastie! – zakrzyknęli Kozacy.

Dymitr wychylił jednym haustem zawartość pucharu, a potem – polskim obyczajem – roztrzaskał naczynie o własną głowę.

Carewicz pochylił się do Dworyckiego.

– Jakie jest pierwsze miasto w pobliżu Desny, najbliższe granicy?

– Morawsk, Wasza Carska Mość.

– A zatem ruszamy do Morawska. Od niego wszystko się zaczyna.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki